BRUNO JASIEŃSKI

Nogi Izoldy Morgan

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Bruno Jasieński

Nogi Izoldy Morgan

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

Nogi Izoldy Morgan

Exposé

„I widzę dziś duszą chorą.
wpatrzony w nieba skrawek,
żem był olbrzymią maciorą
z miljonem maleńkich brodawek.”

„Foot-ball wszystkich świętych.”

Czuję, że tym razem bez przedmowy się już nie obejdzie. Spróbujmy to zrobić możliwie spokojnie.

Stosunek publiczności polskiej do mnie zarysował się w ciągu tych kilku lat zupełnie wyraźnie i niepowszednio i wymaga komentarzy. Bywali dotychczas u nas autorowie lubiani i nielubiani, popularni i niepopularni, uwielbiani i obojętni. Te kategorje autorów tworzyły i tworzą t. zw. literaturę. Ale obok tej literatury „oficjalnej”, jakby poza jej nawiasem, każda epoka ma swoich poétes maudits, o których mówi niechętnie, na marginesie, z wyraźną nienawiścią. Nic na to poradzić nie można. Są to zwykle barbarzyńcy, nie rozumiejący tej wyrafinowanej gry, jaką jest t. zw. literatura, lub uparcie udający, że jej nie rozumieją.

Wyobraźmy sobie, że do pewnego światowego towarzystwa, zabawiającego się nawzajem jakąś bardzo subtelną komedją, wejdzie człowiek nie poinformowany,

lub, co gorzej poprostu źle wychowany i zacznie wszystko traktować na serjo. Oczywiście cała zabawa psuje się, towarzystwo zabiera zabawki i odwraca się tyłem do nieproszonego gbura.

Tak było zawsze.

Zdarza się że późniejsze epoki stawiają tych ludzi źle wychowanych na pjedestał i uważają ich właśnie za wyrazicieli swego pokolenia, nie troszcząc się bynajmniej o resztę obrażonego przez nich towarzystwa.

Czasami stosunek ten w ogólnych zarysach pozostaje niezmienionym.

Zależy to od tego, czy ludzie ci występowali w imieniu jakiejś niewątpliwej dla nich prawdy, czy czynili to jedynie ze snobizmu pour passer le temps.

Przykłady: Chrystus i Oskar Wilde.

Pozostawmy historji do jakiej z tych dwóch grup zaliczą nas. Spory na ten temat prowadzone w naszej prasie od dwuch lat z górą są conajmniej bezowocne i jałowe.

Kiedy w sierpniu roku 1921 w Zakopanem wracałem z wieczoru, na którym czytałem swoje najlepsze wiersze, odprowadzany przez słuchaczów przez całą długość Krupówek (od Morskiego Oka do Trzaski) gradem kamieni, dostatecznie dużych, aby rozpłatać głowę przeciętnego, a nawet nieprzeciętnego śmiertelnika (niestety było zbyt ciemno), myślałem o tym, że opinja elity publiczności naszej, wyrażona doraźnie po tym wieczorze, była dla mnie naogół... zbyt pochlebną. Ukamieniowanie w r. 1921 nie wchodziło bynajmniej w zakres moich ambicji. Byłem

poprostu zażenowany, jak zbyt chwalony autor. Przechodząc w myśli to, co dotąd zrobiłem, musiałem ze wstydem przyznać, że zrobiłem właściwie bardzo mało i że publiczność stanowczo mnie przecenia. Taką jednakże już jest publiczność, że umie nagradzać swych ulubieńców ponad ich zasługi. I ma to swoją dobrą stronę. Autor bowiem, któremu danem było przeżyć taką chwilę zażenowania, napewno wytęży swoje siły i nie zawiedzie pokładanych w nim nadzieji. Dlatego, mimo iż w istocie literaturze polskiej tak dalece się nie zasłużyłem, wdzięczny jestem za ten wieczór publiczności zakopańskiej. Uświadomił mi on jeszcze raz w którą stronę muszę iść, aby nie zabłądzić. I jeżeli kiedyś (na co są zresztą wszelkie szanse) danem mi będzie przeżyć po raz drugi wieczór podobny, jestem pewien, że nie odczuję już tej upokarzającej hojności.

Wrogie manifestacje po różnych miastach Polski, policyjne zrywanie moich wieczorów w Warszawie, konfiskaty, interpelacja radnych miasta Krakowa w sprawie nie udzielania więcej na moje wieczory Teatru Miejskiego, administracyjne wydalenie mnie z Krynicy, gdy chciałem urządzić tam swój wieczór, ponieważ pobyt mój „w interesie Rzeczypospolitej” uznano za „niepożądany”, chroniczne zdzieranie przez publiczność i posłów (Dymowski) moich plakatów, wysiłki młodzieży akademickiej narodowo-demokratycznej celem niedopuszczenia do moich odczytów we Lwowie i t. p. — były dla mnie dotąd wiechami, wskazującymi mi, że z drogi właściwej nie zboczyłem.

Publiczność byłaby zatem niesprawiedliwą, sądząc, że nie doceniam jej roli w moim rozwoju twórczym. Przeciwnie, jest ona stałym regulatorem mojej twórczości, czemś w rodzaju klapy bezpieczeństwa, regulującej wartość produkowanych przezemnie rzeczy.

Rzucając na rynek nową książkę moją uważałem za konieczne zaopatrzenie jej w coś w rodzaju moich prywatnych confessions z kilku przyczyn.

Książka ta różni się nieco charakterem od mej dotychczasowej twórczości, znanej P. T. szerokiej publiczności. Ztąd oczywiście proste konsekwencje o załamaniu linji, o nowej fazie, „zprawicowieniu" literackiem i t. d. Tych ludzi właśnie chcę z góry uspokoić.

Książka niniejsza, jak mało która leży bezpośrednio na linji mojej twórczości i jest poniekąd bilansem pewnego drobnego jej okresu.

To, że jako formę wybrałem w tym wypadku powieść, jest zupełnie zrozumiałe.

1° Głosząc hasła demokratyzacji sztuki trudno jest ominąć powieść, jako taką, ponieważ na 15% czytającej u nas publiczności napewno 14. 75% czyta jedynie beletrystykę, a dopiero 0. 25 — poezje.

2° Zabierając się do oczyszczania z gnoju sztuki polskiej niepodobna nie zawadzić o tę jej gałąź, ponieważ jest najbardziej zagnojona.

Nie twierdzę, aby książka niniejsza miała być przykładem, jak należy pisać powieść współczesną.

Ale jest ona z pewnością przykładem, jak już obecnie pisać powieści nie wolno. (Dowcip, jaki ci się nasuwa w tym miejscu, kochany czytelniku, dowodzi tylko twojej naiwności).

Wbrew wszystkim moim wydawcom, płacącym od arkusza, powieść ta ma właśnie tyle stron ile ma (nie mniej i nie więcej) i jest w architekturze swej żelazo-betonowa. Tasiemce powieściowe, urągające zasadom elementarnej konstrukcji należą już, miejmy nadzieję, do bezpowrotnej przeszłości.

Powieść dziś musi przestać już być opowiadaniem o pewnych faktach wywołujących dopiero w następstwie u czytelnika pewne stany psychiczne, odpowiadające tym faktom. Droga ta jest z gruntu fałszywa i celowa tylko w stosunku do czytelników o bardzo prymitywnej organizacji wewnętrznej.

Powieść współczesna poddaje konsumentowi pewne zasadnicze stany psychiczne, na podstawie których czytelnik konstruuje sobie szereg odpowiadających tym stanom faktów. Dlatego fabuła dla każdego czytelnika może się tu ułożyć inaczej i na tym polega jej niewyczerpane bogactwo.

Temat w danym wypadku sensacyjny i per-e-wers niema jako taki znaczenia. Jest on o tyle tylko makabrycznym, o ile makabrycznym staje się każdy problemat jeśli zechcemy domyśleć go do końca. Spróbujmy zastanawiać się przez godzinę nad domem, około którego przechodzimy codziennie nie zauważając go zupełnie, a dom ten urośnie

dla nas powoli do rozmiarów upiornych. Tak samo przez zbyt długie wpatrywanie się w jeden punkt zacierają się w oczach naszych kontury realne i możemy zobaczyć w miejscu, gdzie przed chwilą stała statuetka, krowę w żakiecie i chińczyka.

Przyspieszony rytm życia współczesnego, zdążającego z nieubłagalną logiką, jak po równi pochyłej, do pewnego wytyczonego punktu z szybkością rozpędzonych transmisji, stworzył zupełnie nowy rodzaj realności — realność rozpalonej do białego stali, chwiejącą się już na granicy hallucynacji.

Tym jest ta książka.

Jest jeszcze krytyką pewnego bardzo charakterystycznego momentu świadomości współczesnej, który nazwałbym świadomością futurystyczną, jako rezultatu ostatnich lat kilkunastu.

To wszystko, co chciałem o niej powiedzieć.

Tak zwana dwoistość treści przeprowadzona jest tu zupełnie świadomnie i kosekwentnie, wobec czego uprasza się P. T. krytyków o nieodkrywanie tej Ameryki.

Nogi Izoldy Morgan

„Ach, i cóż to za nóżka
Nóżka troszkę spuchnięta…”

Dostojewski: Bracia Karamazow.

„To się stanie jednego popołudnia czy ranka…”

Jasieński: Ballada o tramwajach.

1

Kiedy czternaście par zdenerwowanych rąk gołych i urękawiczonych wyciągnęło wreszcie z pod przedniego pomostu tramwaju Nr. 18 okrwawione ciało Izoldy Morgan z okropnymi, wlokącymi się na taśmach kilku ścięgien, obciętymi poniżej pachwiny nogami, wszyscy ci ludzie doznali nagle nieprzyjemnego uczucia popełnionego nietaktu.

Dziewczyna miała lat 23, duże kasztanowe włosy rozsypane w nieładzie, twarz nieskazitelnie piękną i smukłe, cudowne nogi, sięgające w biodrach nieomal wysokości piersi — nieomylny talizman kobiet rasowych.

Wszystko potem stało się aż nazbyt pospiesznie.

Przyjechało pogotowie i odjechało, zabierając w swym wnętrzu cały incydent. W godzinę później obie nogi były już amputowane, a wieczorem chora, umieszczona w oddzielnej seperatce klinicznej, spała już ciężkim, bezwizyjnym, pokrzepiającym snem.

2

Berg, bawiący tego tygodnia w innym mieście, zawiadomiony został o zajściu dopiero na drugi dzień listem niewyraźnym i krótkim, wspominającym o jakimś wypadku i wzywającym go natychmiast.

Zgiełk peronu, trzaskanie drzwiami, zapach świeżej farby, skaczący kalejdoskop drzew na diafragmie okna, jak paciorki różańca nawleczone na nitkę głuchego, tępego niepokoju osunęły się w głąb długą, prostopadłą rysą.

Kiedy zameldowany lekarzowi dyżurnemu słuchał suchych, technicznych relacji, był już zupełnie spokojny.

Po ukończeniu wyjaśnień poprosił o pozwolenia widzenia się.

Do separatki wszedł w towarzystwie lekarza.

Chora nie spała.

Leżała nawznak z oczyma szeroko otwartymi.

Berg stanął u nóg. Przygotowany był, że trzeba będzie coś powiedzieć, ale w tej chwili nie mógł sobie właśnie przypomnieć nic odpowiedniego.

(...ciężkie, puszyste świece kasztanów w długiej bezwzględnie prostej perspektywie, chłodny, wilgotny smak ust opartych o usta, ciepło drobnej ręki odczuwanej przez zamsz rękawiczki... — pamiętasz?...)

Spróbował się nawet uśmiechnąć, ale oczy jego padły w tej chwili na obwisłą linię kołdry, modulującej niepojętą

próżnię poniżej biódr.

(...Boże, Boże, tylko nie myśleć...)

Jakaś lepka, słodka ciecz podeszła mu do krtani.

I znów kasztany i znów smak wilgotnych ust i długa, wązka noga, wynużająca się z słonecznej piany sukienek.

(...ćśśścho, przecież nie będę krzyczał...)

Jaką zabawną minę ma doktór. Lewy wąs mu opada, jak u chrabąszcza, a na końcu nosa malutki pryszcz.

I wtedy spotkał jej oczy, oczy wylękłego, skatowanego psa (...u ojca, na podwórzu — potopili mu szczenięta...), jakby żebrzące o litość, wpatrzone w niego z naprężonym wyczekiwaniem.

Poczuł, że pod tym wzrokiem mięsza się, że rumieni się, jak sztubak, że stoi tu już parę minut, że trzeba nareszcie coś powiedzieć, *i że on przecież nic nie powie*.

I nagle zachciało mu się uciec.

(...na ulicy ludzie, dorożki, turkot, tramwaje trrr...)

Dlaczego ten doktór ma taką dziwną minę? O tu jest klamka, teraz tylko do siebie.

Sadził po schodach po cztery stopnie na raz, dopóki nie znalazł się na ulicy wmieszany w pstry, rozgorączkowany tłum.

Upadł czerwony, rozpalony, jak płachta. Okrągła, okrągła skończoność. I nad rozdętem I miasta olbrzymia kropka słońca.

Ludzie biegli, szli, popychali się, warczały auta, dzwoniły tramwaje, wypluwały i połykały na przystankach nowe

transporty ludzi i mijały go z jednostajnym zgrzytem szlifowanych szyn.

3

Późno już wieczorem do starszego sanitarjusza kliniki Tymoteusza Lerche, starego barczystego wygi o ospowatej twarzy i ryżym zaroście, zgłosił się młody, przyzwoicie ubrany człowiek, który odwoławszy go na stronę, kręcąc w palcach banknot 500-frankowy, zapytał go, czy nie byłby skłonnym wyrządzić mu pewnej przysługi.

Tymoteusz Lerche zapewnił nieznajomego, że jest całkowicie do jego dyspozycji.

Wtedy ten, ująwszy go przyjaźnie pod ramię, wyjaśnił, że jest krewnym przywiezionej tu przed dwoma dniami Izoldy Morgan, ofiary wypadku tramwajowego, i że chciałby, o ile to jest możliwem, (banknot zaszeleściał w tym miejscu obiecująco) otrzymać obie amputowane nogi swej kuzynki,

Tymoteusz Lerche nie wyraził najmniejszego zdziwienia, pochylił posłusznie głowę na znak, że rozumie, zastrzegł się tylko, że nie wie, czy członki żądane nie zostały już wyrzucone razem z innymi odpadkami, poczem oddalił się, wskazując przybyłemu krzesło.

Po dwudziestu minutach powrócił, niosąc pod pachą wielkie, podłużne pudło, zawinięte starannie w szary papier. Paczka mogła uchodzić łudząco za pakiet z modnego magazynu konfekcji, a różowa wstążeczka, którą była owiązana, nadawała jej wygląd wykwintny.

Tymoteusz Lerche podał w milczeniu paczkę przybyłemu. 500 fr. utonęło w jego chałacie. Poczem zapytał jeszcze, czy nieznajomy nie rozkaże chłopcu odnieść sobie pakietu do domu.

Przybysz jednak nie skorzystał z pomocy służby, ale ująwszy paczkę pod ramię, wyszedł z nią sam, odprowadzany głębokimi ukłonami sanitarjusza i dwuch portjerów.

4

W biurze, gdzie pracował Berg, wiadomość o nieszczęściu, jakie go dotknęło, rozszerzyła się błyskawicznie i wytworzyła około jego osoby atmosferę przyciszonych szeptów i milczącego współczucia.

Towarzystwo Elektrowni Miejskiej, którego Berg był jednym z dwunastu inżynierów, zaproponowało mu urlop miesieczny. Berg propozycję odrzucił. Stawał do pracy podawnemu bardzo wcześnie. Wieczorami nigdzie go nie widziano. Koledzy, którym przyszło do głowy odwiedzić go w tych godzinach, znaleźli na drzwiach kartkę: „nikogo się nie przyjmuje.”

Wiedziano, że u Izoldy nie był od owej wizyty na klinice ani razu i tłómaczono to sobie na różne sposoby. Pozatem zresztą w obejściu był podawnemu zupełnie normalny, rozmawiał i uśmiechał się. Z czasem zaczęto sądzić poprostu, że miłość jego do Izoldy nie była znów tak wielką. To przeświadczenie przyjęło się z czasem powszechnie. Wkrótce przestano się już nim zajmować. Naogół ludzie otaczający go mieli do niego nawet jakby nieuchwytny żal za to, że tak łatwo pogodził się i zapomniał.

5

Były to nogi wyzywająco białe i przedziwnie długie. Zakończone maleńką, wązką, wysoko sklepioną stopą, dostatecznie wysmukłe w pęcinach, wybuchały w nieskazitelnie modelowane podudzie, bardzo wysokie, twarde i jędrne. Od drobnych maleńkich kolan udo białe, o aksamitnym połysku pokryte było całe siecią ledwie dostrzegalnych niebieskich żyłek, nadających kobiecemu ciału powagę marmuru. Drobne stopy tonęły jeszcze w płytkich, lakierowanych pantofelkach, a czarne, jedwabne pończochy okalały je powyżej kolan, podobnie jak w momencie, kiedy jeszcze unosiły swą właścicielkę. Amputacja nastąpiła tak szybko i musiała być przeprowadzona tuż poniżej pachwiny, że nie było potrzeby całkowitego ich obnażania. Umieszczone na kozetce i przerzucone niedbale jedna przez drugą, u góry otulone obficie pledem robiły wrażenie żywych kończyn śpiącej, przykrytej kobiety.

Berg przesiadywał nad nimi całymi godzinami. Znał każdy muskuł i nazywał go po imieniu. Przesuwając ręką wzdłuż *quadriceps cruris*, pieścił lekko palcami wewnętrzną stronę uda, w tym miejscu, gdzie pachwinę łączy z kolanem wązki, ledwo dostrzegalny mięsień *gracilis*, znany także pod nazwą „defensor virginitatis”, najsłabszy z wszystkich mięśni nogi kobiecej. Cała jego bolesna miłość do Izoldy

skoncentrowała się teraz na jej nogach. Godzinami leżał na kozetce, przytulony wargami do miękkiej, pachnącej skóry zaróżowionych ud, jak dawniej, kiedy pieścił je, gdy były jeszcze własnością tamtej. O samej Izoldzie myślał bardzo rzadko. Ściślej biorąc nie myślał wcale. Scena na klinice nie pozostawiła mu nic, prócz uczucia obcości i obrzydzenia. Co go mogła właściwie obchodzić tamta oderwana połowa kobiety, bezkształtny kadłub ochydny i tragiczny. Przytulony w słodkim wyczerpaniu do cudownych jej nóg, które teraz niepodzielnie posiadał, czuł się zupełnie szczęśliwym.

To, że nogi Izoldy po dwuch tygodniach były równie różowe i świeże, jak pierwszego dnia po operacji, — było dla niego rzeczą zupełnie naturalną. Czegoś przeciwnego nie byłby w stanie nawet pomyśleć. Wydało-by mu się to takim samym nonsensem, jak gdyby ktoś usiłował twierdzić, że Nike Fidjaszowej grozi rozkład, ponieważ brak jej głowy. Zresztą były to przecież po dawnemu nogi kobiety żywej, oddzielono od reszty przez prosty przypadek, nie przestające przez to być nadal jej częścią organiczną, połączoną na zawsze z tą żywą jednością nierozerwalnej osobowości.

6

Godzina 12 w nocy. Berg ma tej nocy dyżur w elektrowni. Właściwie mógłby siedzieć w swoim pokoju na górze, jednakże gdzieś (tam głęboko) boi się samotności, chociaż myśli tej nie pozwala się uświadomić.

Jasne światło lamp, rytmiczny turkot maszyn działają sennie i kojąco.

Berg przechodzi kolejno między dwoma rzędami rozpędzonych maszyn.

Świst wirujących szprych i łoskot dźwigni.

Muzyka rozpalonej stali.

Wpatruje się przez chwilę w wirujące koło, ale doznaje lekkiego zawrotu.

Za chwilę przyciąga jego uwagę ogromny tłok wznoszący się i opadający z jednostajną dokładnością. Wydobywa się z niego głuche zmęczone sapanie. Bergowi przychodzi na myśl akt płciowy. Przypatruje się prawie z przerażeniem, jak olbrzymi tłok spada i podnosi się niezmordowanie. Maszyna spółkuje. Dlaczego one jednak same się nie rozmnażają — mówi Berg i czuje zimne mrowie wzdłuż kręgosłupa.

— Dzikie, bezpłodne zwierzęta — rzuca nie oglądając się za siebie i przyspiesza kroku.

Ale końca aleji nie widać. Z prawej i z lewej strony opuszczają się i podnoszą w szalonym rozpędzie dźwignie.

Berg czuje powiew twardej, bezwzględnej nienawiści, jaki wieje na niego od maszyn. Odwieczna nienawiść pracownika do swego eksploatora. Czuje się maleńkim i bezradnym w otoczeniu tych żelaznych istot, oddany im na pastwę. Chce krzyczeć i opanowuje się ostatkiem świadomości.

— Nienawidzą mnie — myśli jasno — ale są przytwierdzone i nie mogą mi nic zrobić.

Ażeby samemu sobie pokazać, że się nie boi, zatrzymuje się przed jedną z maszyn i przygląda się jej przez chwilę drwiąco.

Obrót kół jest tu trochę wolniejszy, jakby leniwy. Zwierzę przyczaiło się i czyha. Berg uczuwa nagle nieprzepartą ochotę dotknięcia ręką szprychy. Nie może oderwać oczu od stali suwaka.

— Tylko dotknę i zaraz cofnę — myśli wyraźnie.

Chce się oderwać, uciekać i nie może. A koło zdaje się obracać coraz wolniej, coraz leniwiej... Olbrzymia ręka szprychy wydłuża się, wydłuża... Czuć jej zimny powiew. Za chwilę dotknie jego twarzy. Jezus Marja!!

Berg czuje nagle ostry ból w ramieniu. Czyjeś kościste pałce odrzucają go z niepojętą siłą w bok i słyszy twardy, chropowaty głos, jak głos trąby jerychońskiej:

— Ostrożnie! Byłby Pan wpadł w maszynę.

Widzi nad sobą okopconą twarz robotnika, duże niebieskie oczy, wpatrzone w niego z pod zmarszczonych brwi.

— Niech pan idzie na górę spać, my tu już sami dopilnujemy — mówi głos z tym samym akcetem rozkazującym, wobec którego Berg czuje się bezwolnym i słabym jak dziecko.

Silna koścista ręka przeprowadza go, unosząc prawie przez halę i puszcza na podwórzu.

— Dziękuję — mówi cicho Berg i widzi nad sobą ogromną, czarną twarz nieba, całą w pryszczach gwiazd.

7

W tydzień po tym zajściu, Berg wyszedł wcześniej niż zwykle z elektrowni i skierował się w stronę przeciwległą miasta.

Złoty jesienny dzień pachnie hibikusem. Nieskończony spokój powietrza niepokoi i przeraża. Wszystko jest zaspane, nieruchome, żadną gałąź nie drgnie, tylko w tej ciszy śmiertelnej jeden za drugim, odrywają się liście i spadają na piasek długą, kolistą serpentyną. Nieruchoma poezja jesieni.

Spadają suche liście,
spadają wolno, rytmicznie,
szelestnie, aksamitnie po ziemi się ścielą
przerażone powietrza śmiertelną martwotą. —
Nad chrząstką ich pościelą
czerwoną, liljową, złotą
słońce zachodzi powoli
melancholijnie, anemicznie.

Przed chwilą wpadł w tryby największej maszyny starszy mechanik Ginter. Kiedy go wyciągnięto był już jedną bezkształtną masą. Dla Berga wspomnienie to jest nieprzyjemne i stara się o nim nie myśleć.

Od pamiętnej nocy przed tygodniem świadomość nieustającej i nieustąpliwej wrogości wzrasta z każdym dniem i Berg nie może się z niej otrząsnąć. Ilekroć wypadnie mu przejść przez halę, robi to zawsze bardzo szybko, nie oglądając się na strony. Powiew tępej, bezsilnej nienawiści, jaki wieje z hali maszyn napełnia go zimnym, niewypowiedzianym przerażeniem. Patrzy w twarze robotników i stara się wyczytać z nich potwierdzenie tego samego uczucia, ale twarze są zamknięte i patrzą hardo i ponuro. Od jakiegoś czasu prześladuje Berga myśl, że ci ludzie, pracujący tutaj od kilku lat, muszą być wszyscy obłąkani. Chwyta siebie na tym, że śledzi ich ruchy i stara się nimi potwierdzić swoje przypuszczenie. Kiedy wypadnie mu zamienić parę słów z robotnikiem, czuje, że się mięsza i musi skończyć czemprędzej rozmowę.

— Żeby tylko samemu nie zwarjować — myśli Berg i zaraz potem przesuwa się plan zmiany posady.

— Tak, tak będzie najlepiej. Przeniesie się, weźmie sobie pracę biurową. To go z pewnością uspokoi.

Nagle słyszy za sobą nieludzki świst. Przelatujące auto zaczepia go wachlarzem i odrzuca na trotuar. Słyszy z wewnątrz sypiące się przekleństwa.

Jest zupełnie wytrącony z równowagi. Musi się oprzeć o drzewo, żeby skupić myśli. Strach duszony w głębi skrada się i zagląda mu w oczy.

— Trzeba to przemyśleć, przemyśleć — powtarza Berg i jednocześnie czuje, że właściwie wszystko jest już za niego z góry przemyślane. Wyjścia niema. Przed chwilą

w śmiesznej naiwności wydawało mu się, że wystarczy zmienić posadę, aby odgrodzić się od nienawiści maszyny. Teraz widzi, że maszyna czyha na niego wszędzie. Każdy krok jego uzależniony jest od maszyny.

Berg czuje się nagle osaczonym. Wszystkie maszyny, oglądane kiedykolwiek, wypełzają z zakrętów świadomości i otaczają go żelaznym pierścieniem. Jak słaba nitka światła z tego labiryntu, majaczeje w nim krzyk, imię: Izolda!

Rozgląda się. Jest gdzieś daleko w nieznanej okolicy. Czuje dopiero teraz, że jest bardzo zmęczony. Trzeba wracać do domu.

Nadchodzi tramwaj. Na widok jego Berg wzdryga się. Chce mu się krzyczeć. Patrzy w twarz pasażera z prawej strony. Jest dobroduszna, spokojna i zadowolona, jak maska. Nagle pod naporem wzroku Berga maska pęka na dwoje potworną szczeliną uśmiechu i Berg widzi na chwilę czerwoną, otwartą paszczę szaleństwa o kilka centymetrów od swojej twarzy.

8

Coraz dziwniejsza atmosfera panuje w elektrowni. Niedostrzegalne szepty pomiędzy robotnikami od czasu tragicznej śmierci Gintera przeszły w cichy pomruk. Mówią o strajku.

Berg coraz częściej natyka się w hali maszyn na rozsypujące się na jego widok grupki robotników. Na drzwiach elektrowni wisi od dwuch dni mała kwadratowa odezwa, której nikt nie zdziera.

Berg długo płakał tej nocy z twarzą na nogach Izoldy. Nadszedł czas. Los wypycha go, dając mu w ręce rolę oswobodziciela.

9

Hala maszyn jest czarna i zieje pustką. Berg, od chwili, kiedy zamknął za sobą drzwi, stoi oparty o ścianę i coraz słabiej uświadamia sobie, poco właściwie tu przyszedł. Odkąd zjawił się tu poraz pierwszy jako młodziutki inżynier, nie widział nigdy tej hali milczącej i nieoświetlonej. Jest oszołomiony. W pierwszej chwili chce zapalić elektryczność, ale przypomina sobie, że elektryczności niema w całym mieście, ponieważ elektrownia nie funkcjonuje. To mu powraca świadomość. Stara się myśleć chłodno. Wyjmuje z kieszeni ślepą latarkę, którą specjalnie sobie przecież przygotował i zapala ją. Ostra smuga światła przecina mrok. Czarna próżnia wydaje się przez to jeszcze ciemniejszą. Jak czarne skrzydła gigantów wyłaniają się z niej olbrzymie kontury kół.

Berg czuje, że jeżeli pozostanie tu jeszcze chwilę — rzuci się do ucieczki. Robi kilka kroków. Teraz porusza się już zupełnie mechanicznie. Za siódmą dynamo znajduje się tablica rozdzielcza. Droga jest dziwnie długa. Bergowi zdaje się, że już ją ominął. Trzeba wrócić. Podnosi latarkę. Widzi dopiero w tej chwili, że stoi pod samą tablicą. W ostrym świetle smugi jak dwoje ślepiów jarzą się oczy zegarów.

Berg wyjmuje z kieszeni palta młot i pilnik.

Oczy zegarów wpatrują się w niego zimno i spokojnie. Ręka w której ściska młotek jest chłodna i pewna. Teraz tylko dużo spokoju.

Oczy manometrów stają się dziwne i magnetyzujące. Bergowi przychodzi na myśl fakir, którego widział w cyrku, ubezwładniającego wzrokiem węża. Teraz czuje to, co czuć musiał wąż, który przyszedł ukłuć, a nie może się poruszyć spętany tym dziwnym wzrokiem. To trwa chwilę. Wtedy ostatnim wysiłkiem woli podnosi Berg nagle młot i z niepojętą dla siebie samego siłą uderza nim w tablicę.

Trzask pękającego marmuru rozwala ciszę.

Spokój jasny, ciepły, głęboki jak staw...

I nagle staje się coś niepojętego: Jasne bezbrzeżne światło oślepia go na chwilę. Czarne nieruchome koła zaczynają się obracać. Berg czuje nagle twarde uderzenie w głowę i upada, waląc twarzą o posadzkę.

10

Na czwartej stronie jedynej, rozchwytanej w ciągu godziny gazety, między komunikatami czernieje mała wzmianka petitem:

„… schwytany na gorącym uczynku
sabotażu w chwili, gdy usiłował zni —
szczyć maszyny, poruszające elektro —
wnię miejską, inżynier Witold Berg,
postawiony zostanie przed trybuna —
łem robotniczym”…

11

Pusta olbrzymia hala fabryczna zapełniona morzem ludzkich głów. Na środku zniesiona pospiesznie z kilku pak trybuna. Chudy, piegowaty student z białymi, mrugającymi rzęsami odczytuje bezbarwnie akt oskarżenia. Czarny, wylizany buchalter z dużym nosem przewraca wolno z namaszczeniem kartki bruljonu. Piegowaty student podnosi od czasu do czasu głos, który rozlega się, jakby płaczliwie i wtedy wtóruje mu pomruk tłumu, jak wiatr przepływający przez halę.

Rozprawa dłuży się nudno i beznadziejnie. Właściwie wyrok jest już wszystkim wiadomy, chodzi tylko o przeprowadzenie przepisanych formalności.

Wreszcie student siada, wycierając nos chustką, a buchalter cienkim, metalicznym głosem zwraca się z nieokreślonym gestem w prawo:

— Proszę wprowadzić oskarżonego.

Głuchy pomruk przechodzi salą. Potem drzwi prawe otwierają się trochę za głośno i pod konwojem czterech uzbrojonych w mauzery robotników, wchodzi Berg. Tłum rozstępuje się trochę, aby dopuścić ich do trybuny.

Gwar rośnie i powoli zamienia się w hałas wrogich głosów.

Dzwonek.

Przesłuchanie trwa dalej.

Wskazówki zegara poruszają się z upartą, żółwią bezradnością.

Nagle szmer wzmaga się i tłum głów, jak popchnięty, pochyla się w stronę trybuny. Na trybunie stoi Berg.

Jest bardzo blady, oczy mu biegają, jeden kosmyk włosów spadł na czoło. Ubrany jest bez zarzutu, w żakiet. Mówi głosem dźwięcznym, spokojnym, często zatrzymując się dla pochwycenia odpowiedniego wyrazu:

Nastąpił dzień zemsty. Świadomy swoich celów proletarjat staje do walki. Żeby walka była owocną, trzeba przedewszystkiem uświadomić sobie kto jest śmiertelnym wrogiem. Wystarczy tego wroga zniszczyć a zło będzie usunięte. Takim wrogiem jest niewątpliwie burżuazja, ale nie jest to wróg zasadniczy. Wystarczy odebrać fundusze burżuazji, a powiększy się przez to o kilka miljonów głów masa proletarjatu. Sam problemat proletarjatu nie zostaje przez to rozwiązanym. Wróg jest inny, bliższy, z którym robotnik styka się codziennie, przy pracy, który niespostrzeżenie pochłania jego siły, zdrowie, a niekiedy i życie. Wrogiem tym jest maszyna. Nie darmo cywilizacja burżuazyjna szczyci się maszyną, jako największą zdobyczą, która dostarcza jej miljona udogodnień. Ale sądząc, że wymyśliła w maszynie jedynie nową broń do walki z żywiołem i nowy sposób wyzysku proletarjatu, burżuazja omyliła się. Maszyna rozrosła się jak pasożyt, przegryzła się we wszystkie zakątki życia; z narzędzia staje się powoli jej panem. Burżuazja opanowana jest już całkowicie przez maszynę i nie może się bez niej obejść. — Ale robotnik

zawsze nienawidził maszyny. Od samego początku była ona dla niego nędzą i przekleństwem. Dziesiątki tysięcy bezrobotnych, tysiące śmierci i okaleczeń, wdowy i sieroty bez chleba — oto czem jest dla robotnika maszyna. Teraz, gdy nastał czas walki otwartej i zwycięskiej, zadanie proletarjatu leży tutaj: oswobodzić ludzkość od maszyny. Należy zniszczyć maszynę, zniszczyć natychmiast, jeżeli nie chcemy, aby ona nas zniszczyła.

Berg w tej chwili jest piękny. Rumieńce palą mu się na twarzy, a włosy zasypują czoło.

Trochę braw, długa niezdecydowana cisza. Berg schodzi z trybuny.

Od stołu wstaje piegowaty student. Jest przestraszony. Mruga szybko oczkami. Mówi głosem prędkim, rozgniewanym:

Wydaje mu się, że inżynier chciał sobie poprostu zadrwić z trybunału, ale brawa jakie słyszał, (zwrot niezdecydowany w stronę) zmuszają go do odpowiedzi. Niszczenie maszyn, które są dobytkiem kulturalnym całej ludzkości, a więc i proletarjatu, byłoby powrotem do barbarzyństwa. Maszyny zarówno służą panom jak i robotnikom. W jaki sposób proletarjat obejdzie się bez maszyn? Przecież i tramwaje i wodociągi, z których korzysta każdy, to też maszyny.

Berg nie słyszy do końca. Wychodzi przez tłum na ulicę. Ludzie rozstępują się przed nim. Deszcz pada drobny, jesienny, zamazany, jak płacz. Berg czuje, że go coś dławi za gardło. Cała jego mowa i apel wydają się śmieszną parodją.

Poco? Przecież oni są tacy sami jak tamci, tylko trochę mniej „inteligentni”. I zresztą zapóźno.

12

W parę dni później, gdy wybuchł strajk generalny, Berg wyszedł rano na ulicę. Dzień był jasny, słoneczny. Cisza zalegała place. Tramwaje nie kursowały.

Berg wyszedł na najszerszą aleję i szedł w górę. Ulice pulsują dziwne, jak pijane. Z wszystkich bram wygląda niepokój. Cisza staje się ciężka. Wszystko przyczaiło się, jakby w oczekiwaniu czegoś, co ma się zdarzyć. Berg przyspiesza kroku. Niesamowita cisza zaczyna go męczyć. Chce wrócić do domu.

Na rogu ulicy ktoś chwyta go za ramię. Jasne niebieskie oczy i czapka z daszkiem gdzieś widziane. Mechanik z elektrowni.

— Słyszałem was na sądzie — mówi jasnym, okrągłym głosem. — Nie wszystko tam zrozumiałem, ale mówiliście, że nadchodzi czas, że maszyny będą nami rządzić, a nie my nimi. A widzicie, jeden nasz ruch i wszystko stoi. I cisza taka, jak przed stworzeniem świata. Cóż wy teraz?

Cały pachnie, bije od niego słońce, radość, moc: My! My!

Berg patrzy mu w twarz i bierze go szalona ochota wydrzeć mu tę jego radość i zobaczyć w tych okrągłych oczach zwierzęce przerażenie.

Idą trotuarem w stronę bramy tryumfalnej. Berg mówi:

— Właściwie teraz już jest wszystko jedno. Nie zrozumieliście duszy maszyny, wy którzy staliście jej

najbliżej. A to takie proste. Duszą maszyny jest pęd, perpetuum mobile. Jedynym zaś powietrzem jakim my możemy oddychać jest właśnie ograniczoność. Konsekwencje są jasne. Zaszczepiliśmy sobie śmiertelną szczepionkę, która nas powoli całych opanowuje.

Zbliżamy się do końca z matematyczną dokładnością. Wkrótce wszystko dookoła nas zastąpią maszyny. Będziemy się poruszali wśród maszyn. Każdy nasz ruch czynimy zależnym od maszyny. Oddajemy broń. Zdajemy się zupełnie w ręce obcego, wrogiego nam żywiołu. Obręcz żelaznego wysiłku nerwów, która utrzymuje jeszcze nad nimi naszą hegemonję, musi lada chwila pęknąć. Wtedy pozostaje walka, albo obłęd. Narazie nikt tego nie widzi, nie rozumie. Jesteśmy zaślepieni swoją mocą. Wyjścia niema. Osaczyliśmy się ze wszystkich stron sami. I zresztą to już jest w nas. Wy bez maszyny żyć już nie potraficie. Przodkowie wasi może by jeszcze potrafili. Wy już nie. Bronić się nie można. Trzeba czekać. Trucizna jest w nas samych. Zatruliśmy się własną mocą. Lues cywilizacji.

Do widzenia! — nachylił się nagle do ucha mechanika, ściskając mu raptowie rękę. Ja w tamtą stronę...

13

Pewnego późnego wieczora, kiedy dyżurny urzędnik policji X komisarjatu układał się właśnie na spoczynek, w komisarjacie zjawił się śmiertelnie blady człowiek z błyszczącymi oczami. który przedstawiwszy się jako Witold Berg, inżynier elektrowni miejskiej, zameldował, że skradziono mu nogi. Domagał się przytem kategorycznie natychmiastowego wyznaczenia mu do pomocy kilku ajentów i zaznaczał, że czekać nie może ani chwili.

W komisarjacie obecnych było zaledwie dwuch ludzi, dyżurny urzędnik oznajmił mu zatem bardzo grzecznie, że musi się chwilkę zatrzymać, ponieważ ludzi na miejscu nie ma, można dopiero po nich zatelefonować. Przybyły oświadczył, że czekać ani chwili nie może i że skoro nie mogą mu udzielić pomocy w tym komisarjacie, — uda się do innego.

Dyżurny urzędnik starał się go zatrzymać wszelkimi możliwymi argumentami. Wrócił urzędnik, który telefonował i oznajmił, że najdalej za trzy minuty ajenci będą na miejscu.

Przystąpiono do spisywania protokółu.

Nie zdołano jednakże wydobyć od nieznajomego nic więcej ponadto, że dziś wieczorem kiedy był nieobecny w mieszkaniu skradziono mu nogi.

Na samo wspomienie przybyły drżał na całym ciele i chciał biec. Z trudem udało się go zatrzymać.

Przedłużono indagację. Wreszcie na schodach dały się słyszeć kroki.

— Otóż i oni — powiedział przyjaźnie dyżurny — niepotrzebnie się pan niepokoił. —

Weszło sześciu barczystych ludzi i stanęło po obu stronach drzwi.

— Ludzie są do pańskiej dyspozycji — powiedział urzędnik — Pan będzie łaskaw wskazać im drogę.

Berg uścisnął na pożegnanie rękę komisarza, którą ten mu podał z wielką skwapliwością, i wyszedł przodem. Ale nie przestąpił jeszcze progu, gdy nagle uczuł na sobie dwanaście silnych rąk, które powaliły go na ziemię. Próbował się wyrwać, szamotał się, gryzł, tarzał się z nimi po ziemi, kilka razy udawało mu się nawet oswobodzić, ale wreszcie opadał ogłuszony i skrępowany. Czuł, że płynie gdzieś wdół po spadzistej płaszczyźnie; potem na chwilę owiało go wilgotne jesienne powietrze. Wreszcie uświadomił sobie, że wciskają go w jakieś ciasne szczelnie zamknięte pudełko. Pokrywa pudełka zatrzasnęła się. Berg stracił przytomność.

Urzędnikom dyżurnym X komisarjatu nie sądzonem było widocznie spać tej nocy. Zaledwie ucichły kroki na dole, zawiadomiono telefonicznie komisarjat, że przy ul. N. pod Nr. 14 otruła się kwasem siarczanym korespondentka Izolda Morgan, która przed dwoma miesiącami utraciła w wypadku tramwajowym obie nogi.

14

Kiedy ocknął się, było zupełnie jasno. Przez niewielkie okratowane okno umieszczone w górze padało białe, oślepiające światło księżyca. Pokój był mały i nie umeblowany. W snopie białego światła mieniły się kamienne kostki podłogi.

Wstał lekko i elastycznie. Dopiero teraz zauważył, że jest skrępowany. Bez najmiejszego wysiłku zdjął z ramion dziwaczny kaftan i cisnął go pod łóżko.

Księżyc świecił jasno i jednostajnie.

— Pójdę na ulicę — pomyślał Berg i zbliżył się do drzwi. Drzwi jednak nie miały klamki i były zamknięte. Wtedy podszedł wolno do ściany, odsunął ją lekkim wysiłkiem i wyszedł.

Na ulicy pochłonął go zaraz rozgorączkowany, pędzący w którąś stronę tłum, Szedł popychany przez szerokie, jasno oświetlone ulice, których nie znał. Księżyc świecił, jak wielka żarowa lampa, rzucając chłodne, silne światło.

Na rogu jakiejś ulicy uczuł pod ramieniem swoim czyjąś drobną rękę. Obejrzał się. Szła obok niego szczupła, młoda dziewczyna o miłej dziecięcej twarzy i długich, ciemnych rzęsach. Nie mówili do siebie nic. Na następnym rogu dziewczyna skręciła. Szedł za nią posłusznie, nie zadając sobie trudu myślenia dokąd idzie. Przeszli tak jedną ulicę. Na następnej dziewczyna wprowadziła go do czarnego

olbrzymiego domu, oświetlonego słabo lampką naftową. Wszedł po wązkich, drewnianych schodach na drugie piętro. Otworzyła drzwi kluczem.

W szczupłym, czysto umeblowanym pokoju posadziła go na łóżku i zaczęła się rozbierać. Kiedy zdjęła koszulę zobaczył, że ma maleńkie, bardzo białe i jędrne piersi i szerokie, ładnie wykrojone biodra. Przypomniał sobie, że od dwuch miesięcy nie miał żadnej kobiety. Wziął ją łapczywie, tak jak ludzie biorą chleb w czasie głodu. Biodra miała miękkie i elastyczne, jak sprężynowe, podnosiły się i opadały rytmicznie, tak, że można było pozostawać nieruchomym, a akt odbywał się sam przez się. Brał ją jeszcze i jeszcze. Kiedy zmęczony wyciągnął się na poduszkach, zaczęła się ubierać. Wtedy zobaczył, że niema pieniędzy. Powiedział jej. Nie gniewała się. Ubrała się szybko. Powiedziała mu, że musi jeszcze iść. Wyszli. Przed bramą rozeszli się w różne strony.

Ulica, którą szedł Berg, była szeroka i pełna ludzi. Wszyscy biegli szybko, jakby zdenerwowani czymś, w jedną stronę. Aby nie być potrącanym, Berg zeszedł z trotuaru i szedł dalej ulicą. Myślał o dziwnej kobiecie, którą przed chwilą posiadł i o jej niepojętych biodrach. W pewnym momencie usłyszał za sobą przeciągły, złowrogi zgrzyt. Obejrzał się. Tuż za nim jechał tramwaj. Dotykał już prawie jego pleców. W tej chwili dopiero Berg uświadomił sobie, że idzie środkiem białych, wyślizganych szyn. Zaczął biec, ile mu sił starczyło. W bok nie mógł. Wiedział z jasną dokładnością, że jeżeli tylko postawi nogę na szynie, —

poślizgnie się i tramwaj przejedzie po nim. Biegł wprost przed siebie wzdłuż szyn z szybkością dla siebie samego niepojętą, słysząc tuż za sobą złowrogi śpiew ścigającego go tramwaju. Próbował krzyczeć — bez skutku. Zaraz, musiał tu być przecież gdzieś przystanek... Ale przystanku nie było. Wreszcie zamajaczył w oddali. Berg wytężył wszystkie siły. Byle dobiec. Dobiegł.

Ale tramwaj na przystanku nie stanął i pędził dalej z niezmienioną szybkością. Tak minęli jeden przystanek, potem drugi. Nagle Berg poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie, a nogi odmawiają posłuszeństwa. W mózgu zamajaczył mu nagle stary, wytarty, kiedyś napisany ośmiowiersz:

> To się stanie jednego popołudnia, czy ranka,
> niespodzianie, zwyczajnie, tak, jak wszystko się staje,
> zobaczycie, że naraz na narożnych przystankach
> nie przystaną łoskotem mijające tramwaje.
> Będą pędzić w podskokach, przeskakując z szyn w szyny,
> długie szyje poprzecznic przewylocą, jak nurki,
> zasapane, czerwone, ogłupiałe maszyny
> 18-tki, 16-tki, 19-tki i 4-ki...

Obejrzał się — tramwaj dotykał jego pleców. Na oświetlonej tarczy miał 18.

Mijały ich tramwaje. Na tylnym pomoście jednego, Berg zobaczył opartą lekko o poręcz Izoldę, która powiewała mu chustką.

Wtedy ostatnim wysiłkiem uczepił się oburącz wystającego ślepia latarni i zawisł w powietrzu.

Koło niego leciały jedne za drugimi długie, oszalałe tramwaje, pełne bladych, obłąkanych z przerażenia ludzi.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur:
Fundacja Nowoczesna Polska
KRS 0000070056

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nogi-izoldy-morgan

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Jasieński, Nogi Izoldy Morgan, Spółka Nakładowa ”Odrodzenie”, Kraków 1923.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Holly Lay, CC BY 2.0

Plik wygenerowany dnia 2017-03-23.